M I E S I E C Z N I K L I T E R A C K I

M A J 1 9 4 3

I X

STEFAN KOŁACZKOWSKI.

Stefan Kołaczkowski należał do natur nienawidzących sentymentalizmu i być może, nie napisał w swym życiu ani jednego wspomnienia o zmarłym pisarzu. Pisał tylko o wiecznie żywotnych wartościach twórców wychodząc ze słusznego założenia, że jeżeli życie i czyn człowieka był wartością, ostaje i trwa poza nim. A trwanie wartości wzbudza przecież nie łzy ale dumę. Zbyt młodo odszedł, bo kto się z nim zetknął, odczuć w nim musiał młodą duszę, tak bujną, płomienną i żywą, jakby dopiero rozwijała skrzydła do lotu. Ale choć zdawał się być dopiero w zaraniu literackiego rozmachu, osobowość jego była tak skrystalizowana i o tak silnym piętnie indywidualności, że ukazuje się jako trwała wartość w dorobku i dążeniach polskiej krytyki literatury i kultury.

W krótkim szkicu nie sposób wyczerpać ani nawet zarysować przestrzeni, w której się duch jego poruszał : filozof i estetyk, znawca nowszej literatury polskiej, skandynawskiej, i idealizmu niemieckiego, autor głębokich studiów o Wyspiańskim, Kasprowiczu, Norwidzie, Wagnerze, Mickiewiczu, Brzozowskim, .. Entuzjasta epickości Hamsuna, reformatorskiego czynu Gruntviga, heroicznego intelektualizmu Conrad.. .. to tylko niektóre z drogowskazów jego zainteresowań. Na niwie naszej literatury reprezentował rzadki typ krytyka, o gruntownym przygotowaniu filozoficznym, i znastwie najlepszych kierunków estetyki europejskiej. Jak wszyscy z jego generacji tak i on przyniósł ze sobą umiłowanie literatury, i twórczości i płomienny dla niej entuzjazm. Ale młodzieńcze zainteresowanie filozofią sztuki pogłębił etyką wartości, co przy wrodzonej intuicji duszoznawczej pozwoliło mu na dokonanie kapitalnych rekonstrukcyj osobowości takich jak Kasprowicz, Mickiewicz, Norwid... I tu okazał się krytykiem-twórcą umiejącym nie tylko wniknąć w istotę osobowości pisarza ale poprzez nią w symptomy jego epoki.

Kryteria jego oceny nie dotyczyły nigdy ciekawostek ani curiosów literackich, których pokusie ulegli nawet najwybitniejsi współcześni mu krytycy. Kołaczkowskiego pociągały monumentalne strony osobowości pisarzy i epok, szersze konstrukcje myślowe i twórcy o szerokich horyzontach. Tylko takich pisarzy stawał się entuzjastą. Imponowała mu myśl, siła uczucia, męski i wszechstronny stosunek do świata. Nie znajdując ich wśród młodszego pokolenia poetów, sięgał do dawniejszych, do powieściopisarzy i dramaturgów... Tak krytyk maksymalista przerósł epokę: kryteria nie mogły znaleźć zastosowania w bieżącej twórczości, a dziennikarski felieton nie odpowiadał jego szerokiej naturze; chociaż mając zrozumienie kategoryj estetycznych i wprost intuicyjne wyczucie formy ujmował pisarza bardzo łatwo, bez zbędnych balastów i analiz. Światopogląd twórcy, typ jego etyki, religijności, tragizm, ironię, humor definiował niezawodnie w skrótach myślowych, będących nieraz, zwłaszcza dla nieobeznanych z filozofią, zawiłymi syntezami.

Gdyby ktoś szukał wzoru na ekonomię i celowość w użyciu słów przez krytyka, znalazłby go na każdej stronie jego pism i zrozumiałby może nienawiść autora do wszelkich form werbalizmu i nieodpowiedzialności słownej.

Obeznany ze wszystkimi problemami estetyki, w praktyce zostawał przy tych, które miały zasadniczy związek ze światem wartości etycznych artysty i jego filozofii życia.

I tak kategorie estetyczne ironii wyłożył w studiach o Norwidzie, a tragizm w rozprawie o Wyspiańskim. Recenzje filozofów fachowców o tej ostatniej książce były świadectwem sumienności i gruntowności naukowego przygotowania autora: Volkelt i Scheler byli tylko punktem wyjścia w rozwinięciu trudnego zagadnienia tragizmu, całość

zaś wyszła spod jego pióra pogłębiona i wszechstronniej ujęta. Drukował tylko rzeczy wnoszące istotnie coś nowego, pisał tylko o tym, co go do głębi wzruszyło... W jego pismach nie ma ani śladu konwenansu. Nie należał do żadnej ze szkół literackich, sam chyba mógłby być twórcą jakiejś nowej. Istotnie było w nim coś z oryginalności samorodnej, właściwej genialnym samoukom. Ludzie zaś tej miary nie idą z duchem czasu ani z modą. Wiara we własne ideały była i w nim tak silna, że szukał ich realizacji w życiu. Ale we współczesnej twórczości polskiej nie mógł doszukać się pisarza, coby dorastał do jego maksymalistycznych sprawdzianów. Nie miał tego szczęścia co n.p. Brzozowski: żyć wśród pisarzy własnej miary... Dlatego zrodził się w nim bunt przeciw otoczeniu: ignorowanie miernoty i zwalczanie tego, co uchodziło za groźny symptom kultury. "Bilans estetyzmu" w "Marchołcie" był negacją zupełną kierunków współczesnych krytyki literackiej... był jednocześnie rozprawą z t.zw. szkołami literackimi. Choćby przemilczeć wspaniałą argumentację naukową artykułu, popartą sądami najwybitniejszych estetyków europejskich, do których autor jak wirtuoz sięga w każdej potrzebie, to przecież trzeba podnieść cel jego ataku. Kołaczkowski zwalczał tu t.zw. obiektywizm estetyczny, na który powoływały się szkoły formalistów, i wskazywał na genezę tego kierunku i na jego wartość: akademicka elukubracja intelektów, jest niczym innym w jego oczach jak teorią mechanistyczną, przeniesioną w dziedzinę ducha... Przypadek zrządził tylko, że utajony w autorze bunt znalazł okazję wybuchu w związku z recenzją pracy jednego z profesorów literatury.

Redaktor "Marchołta" miał wielu przeciwników, miał też życzliwych, z pobłażaniem patrzących na jego wystąpienia jak na swego rodzaju donkichoterię. Dziś z perspektywy paru lat, ale lat dłuższych niż zwykłe, widać inaczej tę walkę. A może niejednemu dopiero smutna wielkość dzisiejszych czasów otwarła oczy na słuszność ciężkich zarzutów "Bilansu estetyzmu", wymierzonych przeciw poważnej grotesce ?

Wystąpienia Kołaczkowskiego nazwaliśmy walką, bo dla niego były one starciem się wartości. Jeżeli pisarz o rodzonej ekonomii i wadze słowa z takim patosem dowodzi, że współczesny kult rzemiosła artystycznego jest "jedną z najgroźniejszych potęg sprzymierzonych przeciw osobowości i życiu duchowemu", to chyba trzeba uznać jego intencje.

Trzeba tym bardziej, że zawsze występował przeciw krytyce kompromisów i przekomarzania się, t.zn. takiej, która odpowiednio do okoliczności dostraja ton swojej melodii.

Wobec tego i sam formalizm estetyczny nie byłby może godny kruszenia kopij, gdyby nie kryjąca się poza nim groźniejsza choroba kultury: mechanistyczna koncepcja człowieka i zglajchszaltowanie indywidualności. Formalizm był tylko jej zewnętrznym przejawem. Należało więc sięgnąć głębiej : do źródeł mitów społecznych. "Marchołt" w założeniu miał być trybuną nowych prawd, miał zwerbować współpracowników i współszermierzy. Niestety, jego redaktorowi żyć przyszło wśród pokolenia, dla którego walka o takie sprawy była już niezrozumiałą małostkowością. Sam też musiał nadać ton pismu, sam go podtrzymywać - i miał nawet aplaudantów... Tym bardziej więc podziwiać należy jego niewyczerpaną żywotność, że mimo osamotnienia zdobył się na taki zasób energii jak żaden z ówczesnych krytyków w Polsce. Nie miał skąd czerpać entuzjazmu, chyba z filozoficznej żądzy ukazania prawdy.
A prawdą tą miało być brzemię schematów, którym objuczono społeczeństwo, i iluzyj, w które kazano wierzyć. Dziś pojęliśmy je już wszyscy bez wyjątku... Ale wówczas, w epoce mitów narzucanych z góry, trzeba było nielada bystrości, by dostrzec samooszukanie, i trzeba było wyzywającej śmiałości, by rzucić te prawdy na forum publiczne. Redaktor "Marchołta" działał i argumentował w dobrej woli, i w imię prawdy pokazywał "złudzenia racjonalizmu". Nie obyło się przy tym bez aluzyj

politycznych,zwłaszcza gdy z obowiązku trzeba było wyjaśnić niektóre przyczyny.Skutki nie dały na siebie długo czekać; odebrano mu redaktorstwo i pismo zawieszono.

Ale że publicystyka była już potrzebą jego duszy,więc można sobie wyobrazić,czym dla niego mogła być strata własnego organu działania.Stosować się do kierunku jakiegoś obcego pisma,stojącego nieraz w skrajnej sprzeczności z własnymi przekonaniami ? Jak przemycić te przekonania ? To było wówczas jego troską,bo właśnie świtała nadzieja pozytywnego działania, nadzieja znalezienia wspólnego mitu, zdolnego wszystkich porwać i zespolić,a zrodzonego z praźródła naszej kultury z nas samych. Kołaczkowski stawał się szermierzem jednolitości kulturalnej i politycznej nowej Polski. Wchodził na drogę wielkich poprzedników. Droga zaś ta zapowiadała kres jego negatywnego stosunku do rzeczywistości. W chłopie polskim przeczuwał bowiem tę wspólną pozytywną ideę,głosząc,że "siły czerpie się z dotknięcia ziemi". Już w znamiennym artykule "My pierwsza brygada czy kwartet?" objawił zdolność przeczuwania rodzącej się siły, a kulturalno-twórczą żywotność warstwy ludowej przeciwstawiał skostnieniu warstw innych. Doszedł tam, gdzie zawsze dochodzili konsekwentni i niestrudzeni poszukiwacze ożywczych źródeł kultury. I on był jednym z nich; wprawdzie wiedzą tkwił w estetyce i literaturze, ale wrodzoną aktywnością bliższy był młodemu pokoleniu, które już nie w słowie ale w czynie realizować chciało Polskę. Dwoistość czasów zostawiła swe ślady na nim: entuzjasta sztuki i nowoczesny społecznik-reformator.

Obok bowiem działalności w "Marchołcie" rozwinął inną praktyczną : słynny projekt reformy studiów polonistycznych,a pobudki jej były głębsze. Chodziło mu nietylko o stworzenie warunków pracy na własną miarę, ale głównie o zastąpienie starszego typu erudyty-filologa nowoczesnym polonistą, wyszkolonym na syntezie nauk o kulturze.Nie trzeba dodawać, że ten typ polonisty był mu najbliższy. Ale i tu nie miał szczęścia.Jeżeli bowiem na redaktora "Marchołta" i jego działalność patrzono jeszcze przez palce,to na reformatora - nawet życzliwi z politowaniem; ubolewano nad marnowaniem się jego talentu, nad schodzeniem na manowce. Zrozumienia nie znalazł, sprawę pokrzyżowano.

I jeszcze jeden projekt na świadectwo, że jego teoria zgadzała się z praktyką,że miał prawo do krytyki intelektualizmu i papierowego świata. Rzuca on zresztą światło na inną,powszedniejszą, stronę jego natury: ledwie po okupacji Krakowa zaistniały nikłe szanse na otwarcie uniwersytetu,on już,bez cienia sceptycyzmu,przemyśliwał,jakby młodzieży akademickiej zapewnić egzystencję w zmienionych trudnych warunkach. Chodziło tym razem o zorganizowanie kuchni uniwersyteckiej Cały miesiąc chodził,kołatał,aż wyprosił na ten cel lokal i urządzenie. Miesięczną /ostatnią/ pensję wyasygnował na zakup prowiantów; już organizował ich dostawę. I tym razem nie doczekał się realizacji projektu...

Patrząc na życie i działalność Kołaczkowskiego, widzimy naturę miary renesansowej ściśniętą więzami warunków. Wdziedzinie krytyki literackiej,gdzie mógł być sobą i tworzyć swobodnie,pozostawił prace o trwałej wartości. Do nich należy cała jego twórczość krytyczna,po największej części rozrzucona po czasopismach i czekająca na edycję.Tu był w swoim żywiole,tak pod względem przygotowania naukowego jak i fenomenalnych uzdolnień.Ale widocznie praca ta nie zaspakajała jego bujnej natury,a i stan kulturalny społeczeństwa domagał się innych,wznioślejszych celów,służby społecznej,mającej u nas w Polsce najpiękniejsze tradycje.Więc i on chciał działać czynem.Wiadomo

jednak,że żaden publicysta nie chce być "głosem wśród nocy",więc i on szukał współpracowników,ludzi własnej miary. Przejmujący artykuł z Marchołta "Nie ma ludzi" wyraża rozczarowanie i poczucie osamotnienia wśród społeczeństwa.Obie strony jego działalności uzupełniają się tworząc jedną wartość.A jest nią to właśnie wielostronne dążenie różnymi drogami do jednego celu : człowieka. Dlatego to nieraz zestawiano go z drugim wielkim poprzednikiem, Brzozowskim, oczywiście pod względem nie wpływów ale powinowactw psychicznych. Istotnie są u nich obu cechy na pozór wspólne: obaj romantycy i szermierze praw indywidualnych, u obu ten sam maksymalizm kryterjów, śmiałość i bezkompromisowość w walce. Są jednakowoż i istotne różnice: pojęcie człowieka u Brzozowskiego było pod wpływem Marksa nieraz zbyt masowe; jego człowiek bywa socjologicznym współczynnikiem mitu pracy. Brzozowski dopiero pod koniec życia,dzięki Newmanowi,wrócił do młodzieńczej koncepcji człowieka. Inaczej u Kołaczkowskiego: jest on zawsze w osobowości artysty, trzyma się silnie rysów jego indywidualności i mistrzostwo krytyki osiąga w analizie duszoznawczej. Nawet jego analizy życia społecznego noszą zawsze piętno i wzgląd na jednostkową psychikę ludzką.

Wychowany bowiem wprost na pragmatyzmie,przyjął jego konsekwencje. Dlatego,mimo pokrewieństw z neoromantyzmem,jest on zapowiedzią tych odruchów,które w ostatnich latach zwiastowała filozofia anglosaska,buntu przeciw schematyzmowi i t.zw.pseudokulturze w imię nowych, życiowych metod wiedzy o człowieku. Jak dzień po nocy,romantyzm po racjonaliźmie,zapowiadane odrodzenie choć z opóźnieniem nastąpi. Umysł ludzki bowiem przeczuwa zawsze kierunki własnej swobody. To też kiedyś,gdy będzie można wydać sąd o całym okresie 1920-1939,indywidualność Kołaczkowskiego zarysuje się zapewne silniej i wyraźniej. Przyszły badacz kultury analizując glebę polską,oceniając wartość jej soków żywotnych,zetknie się i z jego działalnością, i na ugorze tamtych czasów dojrzy zapewne ślady jego lemiesza. Jego prawdy o sztuce przypomni może jakiś poeta,gdy zaplątany w kanony form nie będzie mógł dobrać pieśni godnej wielkości chwili. A ilekroć krytyka skostnieje w schematach formalizmu i doktrynerstwa,jego boje z nowoczesną scholastyką będą zawsze aktualne. Będzie aktualny bunt,bo on jest przypomnieniem swobody wówczas,gdy duch ludzki długo spętany w sieci własnych wytworów,przestanie już nawet odczuwać niewolę.

Spytkowski Józef

O "WIERNEJ RZECE"

Stefan Kołaczkowski napisał przedmowę do duńskiego przekładu "Wiernej rzeki", która w języku polskim nie była drukowana. Podajemy ją z rękopisu. Tytuł nie pochodzi od Kołaczkowskiego - w rękopisie brzmi on " Wstęp ".

Jest sporo przesady i nieporozumienia w wysławianiu dzieł literackich o ogólnoludzkim znaczeniu. Zapewne istnieją takie dzieła wysokiej bardzo miary ale powszechna zrozumiałość nie może być ostatecznym i najwyższym kryterium wartości, a jedno i to samo dzieło, dotycząc problemów najistotniejszych dla człowieka, może być jednocześnie związane z epoką, jej wyobrażeniami i okolicznościami historycznymi, w których powstało. Ubolewania literatów, że dzieła cenione przez ich społeczeństwo, nie są tak samo wysoko stawiane przez ludzi innej narodowości, są przeważnie dowodem naiwnego nieporozumienia i niezdawania sobie sprawy jak wielką rolę w przeżyciach estetycznych odgrywają tradycje, w których się wychowało i skojarzenia.
Szczególnie dotyczy to dzieł takich, jak powieść historyczna, o ile mieszczą się w niej walory liryczne, nieodłącznie związane z przeżyciami patriotycznymi lub ze specyficznym kolorytem lokalnym, zrozumiałym, a więc i przemawiającym do uczuć tylko "wtajemniczonych". Niniejszy wstęp ma też na celu zmniejszyć - o ile to możliwe - dystans między czytelnikiem a dziełem i ułatwić mu jego estetyczne przeżycie.
W stosunku do takiego dzieła jak "Wierna rzeka" jest to niemal konieczne, gdyż ma ona poniekąd charakter i n t y m n y. Jest to jedno z późniejszych dzieł autora, który urobił sobie sławę, oczarował poprzednimi arcydziełami i nauczywszy, że się tak wwrażę, swego języka i swych sposobów artystycznych czytelnika - mógł tym razem przemówić do niego z tą wielką prostotą, która za podstawę przyjmuje zasadnicze porozumienie i poprzestawać może na aluzjach i napomknieniach.
Jeszcze jedna z wczesnych nowel historycznych Żeromskiego miała tytuł "Echa leśne", a podtytuł "Wiernej rzeki" brzmi klechda - legenda, w czym wyjawia się intencja autora. W tym podkreśleniu umyślnym, że powstanie polskie przeciw Rosji w 1863 jest sprawą daleką i przebrzmiałą, wyraża się tragiczna ironia, taka sama, jaka mieściła się w tytule "Popioły", powieści poświęconej udziałowi Polaków w walkach Napoleona, walkach, którym przyświecała nadzieja wskrzeszenia państwa polskiego - jak się okazało złudna. Pesymizm końca XIX wieku, początku XX wieku był również dominującą cechą twórczości Żeromskiego, ale znajdował podstawę zarówno w położeniu ówczesnym Polski, jak i społecznych poglądach tego autora. Ale tak jak u Nietzschego, tak i u Żeromskiego pesymizm ten przeradzał się w podstawę tragiczno-bohaterską i to ironiczne podkreślenie beznadziejności wysiłków, wkraczające niekiedy krwawego szyderstwa, miało właśnie na celu budzenie w narodzie woli. Przez kult spraw przegranych, bezowocnych, przez akcentowanie, że przeminęły bez śladu i są zapomniane, że stały się już czymś równie zmierzchłym, jak legenda, krzewił Żeromski kult czystego bohaterstwa, które w sobie samym znajduje swą ostateczną rację. Wciąż powtarzające się u Żeromskiego dowodzenie irracjonalizmu bohaterstwa dowodziło i miało dowodzić właśnie czegoś przeciwnego, było formą najwyższego, "bezinteresownego" jego kultu i krzewieniem tego kultu taką metodą, jaka po wsze czasy właściwa jest wielkim tragikom.
Ale tym rozpamiętywaniem przeszłości swego narodu towarzyszyła krytyczna myśl sympatyka socjalizmu i syndykalizmu, jakim był Żeromski. Jeszcze poeci i publicyści wielkiej emigracji po powstaniu 1831 roku, a tym bar-

dziej późniejsi,jedno ze źródeł klęski walk o niepodległość widzieli w tym,że chłop polski,niewyzwolony z pańszczyzny i co za tym idzie nieuświadomiony politycznie,nie mógł odegrać w powstaniach roli.Demokraci widzieli w tym tragiczną winę Polski a niechęć wyraźna chłopów z zaboru rosyjskiego do powstania z 1863 roku wzmagała ten tragizm jeszcze silniej.Przybierał on szczególnie bolesną ironiczną formę,gdy chłopi polscy,jak się to czasami zdarzało,wydawali w ręce władz rosyjskich tych działaczy społecznych i politycznych polskich,którzy,przepojeni ideami demokratycznymi i patriotycznymi...właśnie o wolność tego ludu walczyli. Metodami artystycznymi przekazanymi jeszcze przez naturalizm,w intencji "przypiekania ran" polskich i wydobywania najboleśniejszych ale niezbędnych do pełnej samowiedzy prawd posługiwał się Żeromski często.Z tej naturalistycznej trzeźwości analizy wywiódł Żeromski tragizm akcji tej powieści.Te dwa czynniki grają zasadniczą rolę w kopozycji "Wiernej rzeki".Stosunek chłopa do powstania zaakcentował Żeromski z bolesną pasją na samym początku tego utworu.Arystokratyczna idee odgrywają rolę tragicznego fatum i w losie Salomei.Ofiarowanie w mściwości zranionego serca kuli matce księcia przez bohaterkę powieści jest aktem,w którym wyraziła się tragiczno-ironiczna intencja samego autora ostatnim bolesnym akcentem.

Odsłonięcie tragedii powstania 1863 roku od strony niejako prywatnej , tragedii domów i rodzin,pozwoliło autorowi na skoncentrowanie akcji i osiągnięcie zwięzłości w kompozycji a zarazem uchwycenie swoistego tragizmu tego powstania,mającego charakter bohaterskich potyczek źle uzbrojonych i źle wyekwipowanych powstańców z regularną armią rosyjską. Utwór ten powstał na schyłku symbolizmu i nosi pewne tego piętno. Zabobonna wiara w strachy i widmo Dominika,ciskającego kadzie,służy to za motyw bolesnego szyderstwa losu ciążącego nad domem polskim.A "Wierna rzeka" przewijająca się jako "leitmotiv" w momentach napięcia akcji, odgrywa tu rolę ważką w tej liryczno-muzycznej kompozycji właściwej tej epoce literackiej.I ten salon pusty z trzaskającymi kadziami i wierna rzeka mieszczą w sobie tajemnice,które tradycyjnie określa się mianem g e n i u s l o c i . Jeden jest,jak sam autor tragiczno szyderczy, ironiczny - a drugi - "wierna" rzeka to żywioł tej ziemi rodzinnej, w którą wsiąka krew ofiar.Dziwną poetycką parafrazę naukowej tezy,że "nic w przyrodzie nie ginie" dał Żeromski w symbolu swej "wiernej rzeki" Nic nie ginie,bo ona,przyroda polska kryje pamięć wszystkich spraw, a wszystko pamiętać - to znaczy być wiernym.

Żeromski żył i tworzył w okresie triumfu bergsonizmu,intuicjonizmu i neowitalizmu,był nie tylką poetą przeszłości Polski,ale jednym z najwspanialszych w literaturze piewców przyrody.Śpiew kanarka to motyw wprowadzony do powieści w celu uprzytomnienia tragicznego kontrastu między hymnem życia a tragizmem spraw,stanowiących osnowę akcji.Ale to prawie jedyny tutaj wyraz kultu Żeromskiego dla piękna przyrody. Chcąc utrzymać nastrój posępności i grozy losów,dostosował do tego i opisy przyrody.To też w opwieści o tych przebrzmiałych klęskach i upokorzeniach narodowych dał - w postaci tej rzeki - niemego ale wszystkowidzącego i wszystko w pamięci swej przechowującego,choć na pozór obojętnego świadka.W ten sposób powiązał z sobą dwie wielkie miłości.

O tej łzie co na końcu padła

O najdroższa ! Pod tej fary wieżą
przy jabłoni,siedem kroków w bok
w szkłach rogowych księża nie dostrzeżą
jak ust blisko włosów twoich lok,

Wiatr z beretu krwawymi wstążkami
spadł na wieżę w której dzwonu ptak -
o tajemni,nię wam pacierzami
ująć nocą umówiony znak.

Bo jeśli płacz : to ja, to ja-
twój dawny Janek z tobą jestem-
tak to mi z oczu srebrna łza
stanęła w wierszach z kart szelestem.

A jeśli śmiech, to ty, to ty-
z niedobrych dziewcząt gorzką zmową-
znam kształt tych ust co w moje sny
koroną rozdrł się cierniową.

O najdroższa ! Pod tą ciemną farą
pod jabłonią,siedem kroków w bok-
w szkłach rogowych z tamtych księży chmarą-
a ten beret, te wstążki, a lok-

I wiatr ten sam po bibliach z jutrzniami
ten sam w wieży uchwycony ptak-
o tajemni ! chyba z niewiastami
nie rozstawać się na zawsze tak-

Bo jeśli płacz : to ja, to ja
twój dawny Janek z tobą jestem
tak to mi z oczu srebrna łza
stanęła w mszale z kart szelestem.

A jeśli śmiech, to ty, to ty-
z niedobrych dziewcząt gorzką mową
znam dotyk rąk co w czasie mszy
chcą rozpleść kaptur mu nad głową .

A jeśli śmierć - to on, to on-
orłem się czarnym w wieże zrywa
tak to nam płacz, tak śmiech, tak zgon !
O wiedźmo z lokiem ! O zdradliwa !

C Z A P K A

Lewe skrzydło domu i hol łączył mały korytarz, oddzielony od łazienki spłowiałą kotarą. W łazience było coś egzotycznego: cieknące kurki wydechiwały wilgotny opar o zapachu spyfrytów a żelazna rura zbiornika stękała w ciemności z hałasem murzyńskiego bębna.

O tej porze, pani Helena podobna w niebieskim szlafroku do lśniącej probówki schodziła z góry ze swego pokoju.
Właściwie pań w Lipinach było trzy, ale obydwie siostry uwięzionego męża Heleny naprawiały tylko na brzegu swoje sieci, gdy ich bratowa nurkowała za drobiną złotego piasku koniecznego do egzystencji Lipin. Że dom jest skobieciały, widać było po rozleniwionych, tłustych psach, spoufalonej służbie i wyczekujących dziadach na tarasie.
Wieczorem Pani Helena schodziła do korytarza przy łazience i o tej samej porze kłapały w holu pantofle Zofijki.
Głos panny Zofijki podobny do wrzenia kociołka puszczającego dzióbkiem parę rozbrzmiewał na cały korytarz -

- cukier, ten co go pożyczyłam dawno już się skończył, a jak przyjdzie nasz, to go trzeba będzie oddać.

Pani Helena słucha i przygarbia się jak rozgrzana probówka.

- bo to Pani dziedziczka kazała mleko odciągane dla biednych na wieś dawać - a my to bogaci.. dzisiaj Kubasowa wszystkie chałupy za masłem zeszła; słoniny też niema - gdzie za nią pójdę ? Sobie z pod serca nie ukraję a paczki z dwora stale idą... poczta na nas zarabia .....

Jest już ciemno . Żar paleniska błyska przez kratę drzwiczek czerwonymi

zębami. Dzedziczka milczy, ośmielony saganek pryska :

- skąd to brać - tyle ludzi

- że jest ciężko, więc ja się staram, przerywa Pani Helena ostatecznie jest jest zawsze mąka i mleko a jak zabraknie, będziemy jeść ziemniaki.....

- ziemniaki, ziemniaki - bulgocze w głębi saganka - kto je będzie jadł bez omasty ...?

- ten grymasi, komu się jeść nie chce, bo nie pracuje - kociołek opadał, a zgięta probówka prostuje się.

Pani Helena powstaje z ławki.

- jutro na obiad barszcz z fasolą i babka ziemniaczana, mleko odciągnięte pójdzie na wieś -

Pani Helena wraca na górę i nie śpi do pierwszej.

Ale jest dobrze. Lato. Rozrzucone w bukietach po pokojach, widoczne w bosych, opalonych piętach dzieci i zrudziałych ubraniach służby. Penetracja słońca zdradza zniewieściałość wnętrza: porzucone na fotelach spruszone letnie kapelusze, na etażerkach ustawione dyskretnie filiżanki z siadłym mlekiem.

Codzień o 9 tej Pani Maria i Wanda schodziły do jadalni.Maria przypominająca wiązankę przybladłych dzwonków, jadła mało, melancholijnie i zaraz po śniadaniu przepadała w przyległym pokoju, gdzie wdziękiem i powagą uczennicy sypiącej ziarno wróblom, rozdzielała prowiant wiejskim babinom. Zjawiała się dopiero na obiad w angielskim kostjumie z filuretnym błyskiem w oczach; kto ją widział rano, czuł, że Pani Maria podeszła go melancholią porannego wyglądu.W istocie jest ona nadal kobietą ponętną, z którą niekochany mąż rozszedł się, nie przestając jej uwielbiać. Pani Maria perła paryskiego savoir vivre'u była w Lipinach niespodzianką wykwintnej miniatury przywiezionej z zagranicy. Inaczej było z szambelanową - ta tkwiła, w Lipinach jak bukiet nieśmiertelników zatknięty za starą ramę.

Jasne , proste włosy i zdecydowany chód ,pozbawione były delikatnego erotyzmu jej siostry. Masaże, kosmetyka i synek, wyczerpywały go całkowicie była jak okaz zdrowia wyżlicy, noszącej cierpliwie w zębach wyrośnięte szczenię.

Pani Helena pokazuje się rano w jadalni jedynie wtedy, gdy do Lipin ma ktoś przyjechać. Obwieszcza to krótko :

- gość będzie przepracowany, nie trzeba go męczyć pytaniami, zatrzyma się krótko.

Zwykle po takim obwieszczeniu jechał Olek do Chełmu, ale nie na stację, tylko na przystanek bliżej, gdzie nie kręciła się policja. Przywoził gościa który usuwał się po tygodniu albo dziesięciu dniach a przyjeżdżał nowy. W Lipinach stale było pełno. Kuzynki i znajomi na urlopie, małżeństwa w okresie miodowym i całe wakacje dzieci.Stale przyjeżdżał ktoś z Warszawy. Wtedy siedzieli do późna w nocy. Pani Helena nie pojawiała się wcale w korytarzyku przy łazience, Zofijka wyczekawszy się napróżno, wracała na dół, nie wytchnąwszy pasji jaką czuła do tych gości - przyjeżdżali aby ich obiadać. Godzinę przed obiadem chodzili już w hollu, patrząc na zegar. Było im wszystko jedno, co jedli, byle jeść. Żaden z nich nigdy nie zaszedł do kuchni, nie pochwalił. Do kobiet czuła pogardę: chude, pstre, paliły papierosy i jadły prędko.

Najgorsze było to, że byli nieuchwytni. Zmieniali się stale. Ale żaden z nich odjeżdżając nie pomyślał o uściśnięciu ręki jej 5o letniej gospodyni Lipin, uścisku po którym zostaje miękki, papierowy szelest w głębi dłoni. Nie żeby była chciwa, ale tego wymagał szacunek dla domu. Mroczna niechęć dokuczała jej tym więcej, że nie była określoną nienawiścią, bo nienawiść wymagała stałego przedmiotu a tutaj był wieczny zamęt ludzi.

Pani Helena wiązała na górze paczki - jeszcze dwie do Warszawy i dla męża do obozu, gnębiło ją stale jak posłać Jędrkowi masło.W domu kazała wydzielać malutkie porcje, ale teraz przyjechały dzieci...

Paczki już były gotowe. Wychyliła się przez okno - u Zofijki świeciło się

jeszcze - pewnie przebiera ogórki - Usunięcie Zofijki wielokrotnie proponowane przez szwagierki wydało się jej tak burzącym jak wyjęcie starych, uleżałych rusztów z pieca. Patrzyła dalej - głąb parku wilgotna po deszczu, rozwarła się przed nią, jak wachlarz połyskliwych czarnych piór, rozfalowanych wokół białego trzonka piaskowej aleji.

Plusk stawu przerywał ciszę. Przyszło jej na myśl, że nie przeczytała jeszcze odpowiedzi Kreislandwirta w sprawie regulacji stawów na Stefance. Światło u Zofijki już zgasło... psy spuszczone z łańcucha podniosły jazgot, uspokajał je świst stróża.

Zatem znowu jeden dzień minął. Można było podziękować Bogu.-

Noc kołysała poczerniały po brzegach liść stawu, gdzie struga księżyca znaczyła biały ślad unerwienia.

Pani Helena wróciła do biurka. Przeglądnęła jeszcze raz pocztę. Jest. Zawiadomienie o przyznaniu 30 żydów do robót na Stefance.

Przywiózł ich nazajutrz Benio dwoma furami z Chełma.

Pani Helena przyglądała się jedzącym - większość to byli starsi - kilku zupełnie nie zdolnych do pracy. Wszyscy wychudli i pomarszczeni.Pochodzili z Czech. Młodsi czuli się pewniej, palili papierosy...

Pani Helena wyznaczyła jednego łącznika pomiędzy sobą a grupą.Żyd rozgadał się - był fryzjerem w Pradze, miał piękny zakład, w Lublinie została żona i dziecko - syn - skończył 6 miesięcy...

Koniec temu położył majster rozpędzając żydów do baraków. Pani Helena zapowiedziała aby łącznikowy codzień przychodził do kuchni o 4 tej po przydział i stroskana wróciła do domu.

Odtąd codziennie zjawiał się "fryzjer", jak go nazwali w kuchni z koszykiem. Panna Zofijka nienawidziła go odrazą czystej kucharki do brudnego darmozjada, osiadłej gospodyni do wałęsającego się włóczęgi.

Nurtujące ją rozgoryczenie skrzepiło się w uczucie nienawiści do żydów na Stefance, skupiając się na tym który stawał na progu, w cygańsko diabelkim języku prosząc ją o "munke i cibulke"

Pierwszy raz zjawiał się w samo południe. Blacha kuchni zjeżona garnkami dygotała jak pokład krążownika. Zofijka zgarbiona przy stole obserwowała skrycie żyda. - Nie opuszczał progu. Oczy wpił w dymiące rondle, wargi poruszały się prędko. Powtarzał uparcie że "klopaka gledna" wskazując na cebulę i jarzyny leżące na stole. Gdy Zofijka swoim zwyczajem nie odpowiadała mu wcale, wpadał w bełkot żydowsko-ormski, na który obstępywały go baby i zwykle Kubasowa wrzucała do szmacianej torby parę główek kapusty i cebulę.

Po jego odejściu Zofijka zrywała się gorączkowo i podnosiła pokrywki garnków jakby żyd miał wzrokiem zjeść ich zawartość.

- Biedne to żydostwo - wzdychała Kubasowa - paskudna mowa ale tyż człowiek -

- Pana Jezusa by zjedli - wykrzykiwała Zofijka - mało im tego, co Jaśnie Pani daje -

O 4tej żyd przychodził drugi raz, po przydział wyznaczony przez dziedziczkę. Tym razem zostawiał torbę w kuchni a sam obojętnie stał na podwórzu paląc papierosa.

Tak widziała go z okien swojego pokoju Pani Helena,- w cytrynowym blasku odbitym od zielonych stawów i żółtego piasku podwórza wśród drobiu, i szastających spódnic, w zrudziałym na cynamon ubraniu, niedbały i obcy jak kataryniarz próżnujący w upalnej uliczce podmiejskiej.

Pani Maria patrzy zamyślona na zegarek,- jest 6 ta - może zdąży przed kolacją tak, żeby siostra widziała, zajrzeć do proboszcza.

Na plebanię było bliżej, przecinając występ sosnowego lasu. Mech miękki i siny przypominał wilgotne końskie wargi. Popielate o gobelinowym sploieniu gałęzie wyrastały z pni jak stare huby górą suche, ołowiane konary spajały witraż z gruboziarnistego błękitu.

Pani Maria szamotała się z furtką, ale już ksiądz zbiegał ze schodów.

- Witam, witam - czarne rękawki pingwina machały na przywitanie, Wiedziała Pani kiedy przyjść.-

- Co się stało ?

- dzisiaj w nocy byli u mnie bandyci, zostawili to co mam na sobie. Zabili nawet dwie indyczki i świnię.. Niech Pani pozwoli siostra leży.

- Jezus, Maria - krzyknęła Pani Maria - czy i ją zabili ...?

- Niech Pani będzie spokojna-proboszcz otoczył ją opiekuńczo ramieniem - to lekki atak serca - już przeszedł, byłoby może lepiej gdyby się nie wtrącała, ale żal jej było butów - prosiła aby ich nie zabierali i towarzysze zaczęli się kłócić o to. W końcu pozdejmowali nawet prześcieradła i porąbali kredens.

Pani Maria splotła ręce.

- Biedactwo i zabrali jej te buty - nagle z przerażeniem chwyciła ramię księdza - rzucali się na nią z siekierą...

- Nie - odparł łagodnie proboszcz - porąbali tylko kredens,szukając nakrycia.Chodźmy usiąść na ławce. - Proboszcz patrzył na delikatny profil Pani Marii,puszyste włosy - siedziała przygnębiona,zatopiona w myślach.Zerwał kilka zamkniętych w twarde,pąsowe kłębki róż i położył na jej kolanach.

- Uważajcie,bo kto wie,czy nie na was teraz kolei.Radziłbym mieć połączenie telefoniczne w nocy z żandarmerią,ale - machnął ręką - to i tak nie pomoże.

Przy kolacji nastrój jest ciężki. Pani Helena ledwo co wróciła z miasta i każe zabrać jajecznicę specjalnie dla niej robioną a prosi o kiszoną kapustę.

Terenię to bardzo dziwi a jeszcze uwaga Pani Wandy, że jajecznica po wódce nie smakuje, skoro żadnej wódki nie ma na stole.

Terenia chciałaby dostać jajecznicę zamiast krupniku ze źle oskrobaną marchewką. Marchewka przejmuje ją wstrętem, przenosi więc wzrok z niej na pannę Renię, ale nauczycielka musiała musiała pewnie dostać list z wymyślaniami od tatusia Tereni, bo jest bardzo stanowcza i odmawia

- w tym krupniku jest śmietnik z jarzyną, stwierdza szambelanowa i Tereni łyżka zostaje w ręku; widziała raz śmietnik, po którym chodziły szczury, ale czy szczur jadłby krupnik... tego Terenia nie jest pewna i postanawia zrzucić marchewkę pod stół, może Trop tam ją znajdzie i zje.

- krupnik jest bardzo smaczny a jarzyny muszą w nim być ze względu na dzieci - mówi Pani Helena -

- ale my go też jemy - stwierdza z naciskiem szwagierka.

Pani Helena nic nie odpowiada i przy stole znów jest milczenie.Terenia modli się w duchu do św.Teresy aby jej pomogła zrzucić pod stół marchewkę.W końcu Pani Helena zauważyła wypieki dziewczynki,

- Panno Reniu, niech pani zabierze już dzieci na górę, Tereni proszę zmierzyć gorączkę.

W drzwiach dzieci zderzyły się z Panną Marią. Szambelanowa spojrzała na siostrę złośliwie

- musiałaś pewnie z plebanii biec truchcikiem, żeby się nikt nie domyślił gdzie byłaś -

Pani Maria nie odpowiadała nigdy na zaczepki siostry.Odsunęła stanowczo półmisek - nie będę dzisiaj nic jadła - powiedziała taj przejmująco że wszyscy spojrzeli na nią. Babunia i Pani Helena które już wiedziały o wydarzeniu na plebanii uśmiechnęły się a widząc że siostra wypiła już czwartą filiżankę barszczu a teraz polewa topionym masłem grzanki dodała ironicznie - Jeśli co wieczór będziesz miała takie przejmujące Cię wiadomości, będziemy musieli jeść kolację bez tłuszczu.

Prace na Stefance postępowały bardzo wolno. Żydzi rozleniwili się. Czterech było zupełnie nie zdolnych. Na zapytanie dziedziczki Lipin w starostwie co z nimi zrobić, starosta dał odpowiedź -

- Niech ich Pani każe rozstrzelać -

- ja to zostawiam bandytom - odparła krótko Pani Helena i odtąd sama jeździła codziennie na Stefankę doglądać robót.

Fryzjer z Pragi był niezmordowany. Pracował za czterech znajdując zawsze

okazję, aby dziedziczce powiedzieć o żonie i dziecku, które zostawił w Lublinie. Pani Helena zastanawiała się: - żydom potrzebna była gospodyni. Niema im kto naprawiać podartych koszul i gotować.
Panna Zofijka wyraźnie sprzeciwiała się wszystkiemu, co dotyczyło żydów. Od ich przybycia zmieniła się nie do poznania.
Pani Helena miała rację, dusza panny Zofijki zeschła w pomroce kuchni, stwardniała od pokonywania kilkakroć dziennie oporu, jaki stawiały jej strome schody i odżyło w nienawiści jak wysuszona cebula, przyjmująca ciepło i wilgoć piwnicy za słońce.
Zofijka śledziła żydów, wyprawiała się ukradkiem na Stefankę, podglądając ich przy robocie. Dawniej mrukliwa teraz stale opowiadała dziewczętom w kuchni o zbrodniach jakich dopuszczają się żydzi.

Jednego dnia zamiast fryzjera, zjawiła się w kuchni żydówka. Baby obstąpiły ją; mąż jej pracuje na Stefance i teraz ona będzie przychodzić do kuchni - mieli w Pradze zakład fryzjerski, Jaśnie Pani kazała ją przywieźć z Lublina wraz z dzieckiem. Piękne dziecko i jakie mądre.... ma już 7 miesięcy, przyniesie go pokazać - syn -
Była żywa, gadatliwa, babom podobały się jej bursztyny, okrzyki zachwytu nad pałacem i jaśnie panią. Żydówka wetknęła Kubasowej krem do rąk, innym dała maszynki do włosów, pochwaliła kuchnię i wyszła z wyładowanym jarzyną koszykiem.
Baby były z niej zadowolone - gagały głośno o tym, nie zwracając uwagi na Pannę Zofijkę, która nie poruszyła się cały wieczór, ze swego krzesła.

Pani Helena wróciła późno na górę. Od dłuższego czasu kładła się spać o 1szej, 2giej bo z opowiadanych wypadków wynikało, że napady powtarzały się przed północą.
Pani Helena spacerowała po pokoju - dom już spał. Ostatnia powiedziała dobranoc Anielka i zeszła do hollu. Wrazie gdyby obydwaj praktykanci wrócili ona im otworzy - zegar uderzył 11 tą ... nie, niemożliwe, o tej

Michał i Bernard nie odważą się jechać szosą. Przedwczoraj był wypadek zastrzelenia na drodze kobiety. Lepiej że zostali, ale dom był bez mężczyzny. Mimowoli zaczęła liczyć ilość okien i drzwi. Zeszła do hollu. Anielka spała, Trop zerwał się, ale po chwili położył się znowu. Wszyscy spali, liczyli na nią. Nawet Trop. Wróciła na górę. Gdy szła na górę po schodach zdawało się jej, że słyszy jakby szczęk obracanego klucza. Stanęła , ale cisza była zupełna - zdawało się jej. Weszła do siebie i stanęła przy biurku bezradnie - nie miała już do roboty - ta chwila należała tylko do niej - podeszła do małej szafeczki i tu zawachała się - szwagierka lubiła zrywać się w nocy i przybiegać do niej ... odłoży to więc na później.

Odsunęła storę, noc napierała na szyby, ciemność gęsta zwisała ciężko jak galaretowata masa. Zdawało się, że cieńka, napięta błona pęknie i mrok chluśnie do wnętrza, wsysając światło.

Pani Helena zamknęła okno. Poczuła gorączkę i znużenie. Dzień zdejmował z niej swój ucisk ale ustępujące naprężenie domagało się zasycenia nerwów czymś innym. - Teraz już chyba nikt przyść nie może -. Spojrzała na zegar Była dwunasta. Otworzyła z klucza szafeczkę i nalała szklankę wódki - patrzyła zamyślona w szkło -

Zaczęła pić z początkiem wojny; dla rozgrzania się po zimowych jazdach, dla równowagi po denerwujących wypadkach i tak zawsze dla czegoś - Teraz piła dla siebie, bo nie mogła obejść się bez wódki ... delikatny rumieniec wyszedł na policzki Pani Heleny - przytknęła szklankę do ust, gdyby teraz zobaczył mnie Jędrek, przemknęło jej w myśli. Mimowoli odwróciła się w stronę drzwi - na progu stał mężczyzna.

- Cicho, nie wołać, towarzysze na dole - gburowata mowa zdradzała pośpiech i zdenerwowanie. Zdjął karabin i oparł go o biurko.

- No - potrząsnął ręką w kierunku stojącej przy szafie kobiety.

- Co, sami tak pijecie ? dalibyście mnie - wychlusnął odstawioną pospiesznie szklankę.

- Ho, ho, całą szklanką, tanio was wódka kosztuje - popatrzył podejrzliwie na nią.

- Gdzie macie drugą butelkę, zawołam towarzyszy, pokażecie jak umiecie pić -

Oczy Pani Heleny wparte w rozczerwienioną twarz bandyty błyszczały twardo. Milcząc wyjęła z szuflady ciężką kopertę i rzuciła ją na stół. Drab wyjmował z niej banknoty i badał uważnie przy świetle lampy.

Panią Helenę ogarnęła nagle wesołość, złodziej, sprawdzający w jej pokoju pieniądze....

- 3 tysiące, mało - burknął drab. Odłożył jeden banknot, gestem wskazując na oderwany róg.

- Nie mam innego - Pani Helena wzruszyła ramionami.

- Dawaj prędko dawaj - niecierpliwił się, przystępując bliżej - gdzie zegarek - chwycił jej rękę. W tej chwili usłyszeli z dołu łoskot i przekleństwa.

Bandyta wybiegł, porywając po drodze karabin. Pani Helena szybko wyjęła z szuflady zegarek i zasypała ziemią w doniczce. Na dole szafy leżała paczka białego płótna, wyniosła ją do paki w przedpokoju i zarzuciła starym chodnikiem.

Teraz mogła zejść na dół. Anielka i Marysia płacząc, biegły z mokrymi ręcznikami do pokoju starszej Pani. Pani Helena pochyliła się nad matką, leżącą bezwładnie na łóżku.

- Chcieli udusić Jaśnie Panią, poduszką - chlipała Marysia - myśmy otworzyły, bo się nam zdawało, że panowie wracają.

- Zabrali metr cukru   i wszystką biżuterię od Starszej Pani - wybuchnęła nowym potokiem łez Anielka.

- Wezwijcie zaraz stróża - przerwała Pani Helena. W drzwiach od hollu natknęła się na szwagierkę. Pani Wanda chwyciła ją za ręce.

- Broniłaś się biedaczko.

Helena spojrzała na nią zdumiona.

- Nie myślałam wcale o obronie.

Twarz Pani Wandy wyrażała ostatnią rozpacz.

- powinnaś była krzyczeć, puściłby cię wtedy.- Oni tak robią ze wszystkiemi kobietami - gdybym cię uprzedziła nie doszło by do tego - Pani Helena zrozumiała dopiero teraz, co Wanda miała na myśli i odsunęła ją zniecierpliwiona.

- bądź spokojna, nie miał czasu, zajęty był sprawdzaniem, czy mu nie dałam fałszywych pieniędzy.

Pani Wanda odetchnęła z ulgą.

- U mnie nie byli wcale.

- Idź, proszę cię do dzieci - Pani Helena popchnęła lekko szwagierkę - zostań z nimi dopóki ja nie przyjdę na górę - liliowy szlafroczek Wandy wionął po schodach.

- Proszę Pani dziedziczki - czerwona twarz Olka zajrzała z hollu oni są teraz w gorzelni, ładują wódkę na dwa wozy, podglądałem ich, ale mnie nie widzieli, co jaśnie pani rozkaże ?

Dziedziczka wyszła za nim do hollu.

- Skąd ci przyszło do głowy iść do gorzelni o 1-szej w nocy ? stróż cię zbudził ?

- Gdzie stróż - Olek aż tryskał uciechą - ten dziad wlazł w rów koło chmielnika i krzyczy że go mordują ... żyd mnie obudził - walił do szyby, żeby iść, bo wódkę kradną.

- jaki żyd ? -

- no ten, co za cebulą do kuchni chodzi.. fryzjer ; on dzisiaj spał na folwarku, przy deskach -

- Idź Olku, zobacz, czy są jeszcze w gorzelni i przyjdź z powrotem. Policji i tak nie da się zawiadomić - wzrok jej padł na przecięte przy telefonie sznury.

Olek odwrócił się służbiście i zaklął, zetknąwszy się w drzwiach z jakąś postacią - fryzjer wywinął mu się z pod ramienia i skłonił się przed

dziedziczkę. Był spocony i dyszał ciężko.

- już niema pojechali, dwa wozy z wódką .. władza nie przyjechała, co - ?

- nie - Pani Helena mimowoli ściszyła głos, patrząc zdumiona na żyda.

- władza dowiedzieć się jutro, nima wódka, zabrali wszystka wódka ... U Jaśnie Pani jest piwnica, tam władza nie będzie szukała - postać żyda, niepewna w świetle słabej lampy dygotała jak od chwilowego dreszczu ; Olek słuchał z natężeniem, przenosząc wzrok z żyda na dziedziczkę. Panią Helenę ogarnęło nagłe zniecierpliwienie. Miała chęć zostawić ich tu, odejść i nie myśleć o tym. - Wrócić do siebie i wypić koniecznie wódkę. Nadzieja błyszcząca w wzroku tych dwuch, zmuszały ją tylko do stania tutaj. Szum w głowie i pragnienie wódki przynagliły ją do zamknięcia oczu. Kiedy otworzyła je, wzrok jej padł na czerwone ręce Olka, ocierające się, jak spocone o szafirowe sukno spodni.

Pani Helena wstrzymywała się jeszcze chwilę. Łudził ją daleki turkot - może praktykanci wracają ... nagle żyd uczynił nagły gest w jej stronę, i wpił w nią zaciekawione oczy - teraz musiała odpowiedzieć.

- Olku, wyniesiesz wszystką wódkę, co została w gorzelni i schowasz -

- Nie dam rady sam, proszę Jaśnie Pani, zdałby się jeszcze kto- wskazał oczami na żyda.

Pani Helena zawachała się chwilkę.

- Ja ide z tym panem, Jaśnie Pani ma moje żone i dziecko, to sie nie musi bać - i żyd zwrócił się ku drzwiom a za nim wyszedł ciężko Olek.

Pani Helena została sama w hollu, ogarnęła ją ogromna senność - wrócić już do siebie ... po chwili rozbudzając się z każdym krokiem, wyszła na taras.

Mrok pochłonął już postacie obydwóch mężczyzn. Wierzchołki drzew targały

ciemność, skłębiając u nasady konarów. Noc nabrzmiała jak wydęty miech, nie groziła niczym - było tak spokojnie. Pani Helena odetchnęła.
Udział żyda w chowaniu wódki, przestał ją niepokoić. Gorzelnia była oddalona od folwarku, stróż schował się - nikt nie mógł ich zobaczyć.
Zofijka powiadomiona przez Anielkę o napadzie bandytów,drżała w wełnianym szlafroku, odmawiając trzeci różaniec. Nagle usłyszała kroki za oknem i stłumiony głos - znieruchomiała - nie, w Lipinach nie było drugiego człowieka któryby miał taki sam gardłowy głos - Narzuciła płaszcz i cicho wysunęła się na dwór. Przyczaiła się za akacjami, bo przechodzili tuż obok, pierwszy to zdaje się był chłop - Zofijka nie zwracała na niego uwagi - szła wzrokiem za drugą, przygarbioną postacią.
Kiedy przeszli, zerwała się i kryjąc, starała iść za nimi. Ciemność oddzielała ją od nich coraz bardziej. Musiała biec. Tamci wyszli na boczną drogę, skręcającą do gorzelni i zniknęli w jej drzwiach. Zofijka podpełzła na czworakach i przylgnęła do progu. Przez uchylone drzwi zobaczyła odwróconą tyłem postać fryzjera - cicho i sprawnie nalewał spirytus do konwi mleczarskich.
Lampa z zduszonym knotem wystrzeliła jaśniejszym płomieniem. W ciemnym gałganie leżącym koło progu, rozeznała czapkę fryzjera. Bez namysłu schwyciła ją w palce. Dopiero przy zetknięciu z suknem, zatrząsł nią strach. Zlazła cicho, chwilę pełzała na czworakach i puściła się pędem, przyciskając do piersi czapkę.

Pani Helena wróciła o 11-tej rano z miasta. Żandarmeria została już powiadomiona o napadzie, przyjadą napewno w południe. O schowanych 200 l. nikt z domowników nie wiedział - należało jeszcze rano wstąpić na Stefankę ..Kazała rano wezwać fryzjera, ale nie było go w barakach. Olek na pewno nic nie powie a żyd robił wrażenie uczciwego.
Konie zatrzymały się przed gankiem. Wieszała płaszcz, gdy nadjechał z Lipin Dolnych powóz.

Mika i Pani Wanda wysiedli.

- Mogli was obrabować doszczętnie, ale bali się, zdaje się więcej od was, straciłaś ładne pieniądze na spirytusie, ten wasz stróż to ostatni niedołęga. -

Pani Helena rzuciła szybkie spojrzenie na szwagierkę, przyczesującą grzywkę.

- Nie ja jedna straciłam, w Zagórkach zabrali 4 pary koni, - no i cóż Zofijko , jakże Zofijka spała - zwróciła się do gospodyni, wychodzącej z jadalni.

Zofijka zastanowiła się - nie, nic nie powie. Głos dziedziczki był za spokojny, jakby nie chciała nic więcej wiedzieć ani pytać - wiadomo Jaśnie Pani, wszystko uniesie w sobie, woli stracić a nie pokaże, co ją gryzie. Ale ona Zofijka ma u siebie czapkę fryzjera znalezioną w gorzelni, najlepszy dowód, kto sprowadził bandytów. Chrząknęła

- Dziękuję Jaśnie Pani, chciałam wiedzieć co będzie na obiad.

- Niech Zofijka przygotuje coś do wódki, przyjedzie pięciu panów. Na pieczeń najlepuej kotlety cielęce.-

Tymczasem szambelanowa pouczała syna w jadalni, aby nie strzelił jakiegoś głupstwa.

- Mikuniu, jak przyjadą ci panowie, po których poszły konie, to żebyś im nic nie mówił-

- A o co oni będą się pytali- Mika usiłuje dosięgnąć sera i nie bardzo rozumi, czego chce matka.

- Oni napewno, nie będą do ciebie mówili, tylko żebyś sam z czymś się nie wyrwał.-

Ale mama mówiła, żebym ja im nie odpowiadał - przypomina Mika, który dosięgnął sera i może skupić myśli.

- Więc nie pokazuj im się na oczy, bo oni mogą ci kazać powtórzyć coś złego, za co zamknęliby później mamę...

Mika patrzy z przerażeniem na Matkę. Szambelanowej błyszczą oczy jak

kochance kiedy insynuuje kochankowi wiarołomstwo.

- a gdyby cię bili, tobyś przyświadczył najgorszą rzecz na mamę .. bo ty jesteś taki tchórz, że ze strachu dałbyś mamę zastrzelić ale kochanek nie daje się wciągnąć w zasadzkę.

- A oni może nie będą mnie bili, bo Ira mówi, że oni biją odważnych, a tyś powiedziała że jestem tchórz.

- Idź, umyj się - mówi surowo szambelanowa - jak się nie wstydzisz przy matce cały zamorusany.

Mika wypadł ucieszony z jadalni a Pani Wanda poszła się przebrać.Była razem ze siostrą zaproszona do księdza - Ominie ją więc na szczęście, obiad w towarzystwie żandarmerii.

Zofijka po rozmowie z dziedziczką, zeszła do kuchni. Poszła do piwnicy i zaczęła ucierać w donicy przyniesione masło. Baby aż trzęsły językami nad przyjazdem żandarmerii do Lipin. Zofijka nie zwracała na nie uwagi. Ucierając masło, popadła w rozmarzenie - było jej tak, jakby jeździła łódką po stawie a słońce grzało ją w plecy. Czapka fryzjera leżała ukryta na dnie komody. Zofijka kilkakrotnie odrywała się od blachy i biegła popatrzeć na nią ; wtedy przechodziły ją dreszcze, po których ciepło ogrzewało jej stare ciało.

Ta czapka spadła w jej skwaśniałe życie, jak kamień w postne torfowisko. Nic dziwnego że do tej wyrwy rwały się ostatnie cieńkie strumyki, burzyła piana, parło, co, nie zdołało jeszcze zgrzęznąć.

Dzisiaj po obiedzie Zofijka pokaże czapkę komendantowi.

Obracała ostrożnie cielęcinę, podlewała troskliwie tłuszczem, czując jakby pomiędzy nią a komendantem, który będzie jadł tę pieczeń , zawiązała się już nić porozumienia.

Obiad był doskonały, ale domownicy jedli, jakby mieli gardła zatkane obecnością cienkiej postaci kapitana żandarmerii przypominającego prasowane włókna siana.

Nie patrząc na właścicielkę, wyjaśnił obojętnie, że dwóch żandarmów

przyjedzie później - za pół godziny. Popatrzył na zegarek i dodał z naciskiem - za pół godziny.

Pani Helena przypomniała Anielce aby schowała obiad dla dwóch panów i nie miała o czym mówić. Zresztą kapitan o nic nie pytał ; żuł potrawy jakby omijał chory ząb i patrzył ponad głowę obecnych. Czterej żołnierze jedli w milczeniu. Pani Helena spojrzała wstecz przez otwarte drzwi do hollu i zobaczyła Zofijkę wynoszącą do kredensu półmiski - Zofijka nie robiła tego nigdy i Pani Helena poczuła do niej wdzięczność.

Kapitan wyławiał łyżeczką wiśnie z kompotu i przyglądał im się przez chwilę zanim je połknął.

Panią Helenę ogarnął nagły niepokój, ten człowiek napewno już wiedział wszystko i bawił się teraz z nimi, jak kot z myszką - po obiedzie, dłubiąc wykałaczką w zębach, wskaże, gdzie jest ukryta wódka.

W istocie kapitan myślał o czymś zupełnie innym -

czekał go raport ze śledztwa, zrobił już co do niego należało, sam z auta z lornetował las, gdzie mogli ukrywać się bandyci ; żołnierze rzucili kilkanaście granatów w zarośla ..... jeszcze dwaj wysłani zdadzą mu sprawozdanie - tak nie uchybił niczego - zapalił cygaro. Obiad dobiegał końca. Pani Helenie zapatrzonej w okno, zdawało się, że przez podwórze przeszła postać Żyda - chudy, fioletowa cień przesunął się po piasku.

Dwaj żandarmi stanęli na progu - kapitan podniósł się. Pani Helena wstała także.

Jeden z przybyłych wypadł do hollu i wrócił niosąc w ręku szmaciany worek. Pani Helena poznała torbę, w której fryzjer nosił cebulę. Teraz policjant wyjmował z niej trzy butelki spirytusu.

- Wzięliśmy je tylko z jednego baraku. Rewizja dalszych nic nie wykazała.

- Przeprowadziliście śledztwo- i co Żydzi przyznali się do tego - kapitan ruchem głowy wskazał na butelki.

Żandarmi wahali się z odpowiedzią. Kapitan gotów wściec się że nie prze-

prowadzili śledztwa ... powiedzieć mu prawdę jak było - wydrwi ich za pośpiech - ale trudno, byli świeżo przyjęci do policji, nie zabili dotychczas nikogo. Jadąc na Stefankę nie przyznali się przed sobą, jak są ciekawi co będą robić żydzi.

Po drodze zabrali jakiegoś żyda, szedł do miasta, przysięgał że o niczym nie wie, spał na folwarku - kazali mu wskazywać szoferowi drogę .... w pierwszym baraku, przy tym starym - płakał jak dziecko - znaleźli trzy litry. Nie pamiętali co robiła reszta, bo wpadła im w ręce ta żydówka - wrzeszczała bijąc głową o kolana, tarzała się po ziemi z bachorem, gryzła sobie ręce - musieli ją zastrzelić, jeden nabój a magazyny mieli pełne ...... gdyby nie ona nie byłoby tego.

Żandarmi czując wzrok kapitana, starali się powściągnąć podniecenie, ale znowu ujrzeli żydów, rzężących ze strachu, łażących na czworakach, jak pchają się do pustych stawów które wykopali na ryby, przyciskają do belek baraków, rozpłaszczają po wystrzale -

Wyższy z żołnierzy przeciął milczenie.

- chcieli uciekać, musieliśmy strzelać.

Kapitan nie spuszczał z nich oczu - wiedział że żołnierz kłamie, czerwone, spocone ręce, rozpalone uszy, błyszczące oczy mówiły coś innego. Czuł że usiłują okazać spokój - bawił go ich wysiłek ... zapał tych smarkaczy to była rzecz, którą on, doświadczony żołnierz umiał uszanować.

W tym wszystkim jego racja zwyciężyła, należało wspólników napadu szukać wśród żydów ; znaleziona wódka była dowodem przestępstwa.

- wszyscy - zwrócił się szorstko do wyprężonych żandarmów.

Żołnierz chciał powiedzieć, że brakowało jednego ale ugryzł się w język - kapitan zostawiłby go dla poszukiwania a dzisiaj w mieście koledzy urządzali fest.

- wszyscy - odparł.

Kapitan machnął ręką - jedziemy -

Żołnierze ładowali się na bryczkę. Kapitan odtrącił jakąś babę, która

mamrocząc coś nie zrozumiale, wpychała mu do ręki starą czapkę.

Za chwilę bryczki zniknęły za bramą wjazdową.

Pani Helena zapaliła lampę. Chłop, który grzebał zabitych wyszedł przed chwilą. -

- byli bez butów bo je ktoś pozdymał, bachor nie żyje bez to, że matka leżała na nim ; czy nie brakowało którego, nie wie, bo ich nie liczył... chłopska gruboskórność słów czepiła się pamięci...

Nie, nie było tu już nad czymś myśleć, bo nie było nic do zrobienia - ale gdyby nie spieszyła się wtedy wypić wódkę, czy posłałaby żyda do gorzelni ? ....

Klamka ruszyła się powoli, do pokoju weszła Zofijka, uroczyście ubrana, postarzała się o jakieś dziesięć lat.

- Przyszłam pożegnać się z Jaśnie Panią, pójdę do córki, tu zda się ktoś młodszy - zapatrzyła się wytrzeszczonymi oczami, jakby się przed nią coś zawaliło.

Pani Helenie ciężko było odpowiedzieć. Podała jej rękę. Zofijka pocałowała ją i wyszła.

Czuła wielką niemoc i zdumienie.

Należało się, aby ona, Zofijka była narzędziem kary na żydów i pychę dziedziczki a wszystko stało się bez niej.- Nie było ładu w ręce boskiej.

Z niespożytkowanej nienawiści, została jej tylko udręka i wstyd.

Na schodach minęła się z jakimś mężczyzną. Zniknął w drzwiach do pokoju dziedziczki.

Zofijka stała w mroku, trzymając się mocno poręczy aby nie upaść.Serce w niej tłukło.

Poznała fryzjera.

Za chwilę otwarły się znowu drzwi na górze, zeszedł ocierając się w przejściu o nią ramieniem. Zofijka przylgnęła twarzą do szyby, widziała go jak szedł, zgarbiony, z rękami w kieszeniach . . . .

na głowie miał jakąś inną czapkę.